№ 9.

WARSZAWA, DNIA 28 LUTEGO 1863 R. 16 Lutego.

TYGODNIK MÓD

NOWOŚCI DOTYCZĄCYCH GOSPODARSTWA DOMOWEGO.

CENA. w Warszawie *kwartalnie* złp. 10 (rsr. 1 kop. 50); *półrocznie* złp. 20 (rsr. 3); *rocznie* złp. 40 (rsr. 6). **Na Prowincji** *rocznie* złp. 50 (rsr. 7 kop. 50); *półrocznie* złp. 25 (rsr. 3 kop. 75).— **W Cesarstwie i Królestwie**, z dopłatą kopert pocztowych, *rocznie* złp. 63 gr. 10 (rsr. 9 kop 50; *półrocznie* złp. 31 gr. 20 (rsr. 4 k. 75).

Prenumerować można w Redakcji przy ulicy Żabiéj Nr. 956 *b*, w domu Krzemińskiego; w Kantorach pism perjodycznych; na stacjach pocztowych i we wszystkich księgarniach tak w kraju jak i za granicą.— —**Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki**, prosimy adresować— *Do J. K. Gregorowicza w Warszawie. ulica Żabia Nr. 956 b, dom dawniéj Krzemińskiego.*

REGINA Z HERBURTÓW ŻÓŁKIEWSKA.

Obok bohaterskich mężów, których postacie rysują się na tle przeszłości naszéj, widziemy niejedną wspaniałą postać matrony, któréj żywot był pięknem pasmem modlitwy, cnoty i poświęcenia. Jakkolwiek niewiasty polskie nie wybiegały myślą za obręb własnego domu, szerokie było niekiedy pole ich działania, nieraz bowiem zastępowały w zarządzie rozległych włości nieobecnych małżonków, zajętych wojną, sejmem lub poselstwem na obce dwory. Wychowanie ich też, lubo mniéj świetne niż w dzisiejszych czasach, musiało być gruntowne i praktyczne, skoro mogły podźwignąć brzemię ważnych obowiązków, jakie spoczywały na ich głowie. Do rzędu takich matron policzyć możemy Reginę z Herburtów Żółkiewską, godną małżonkę wielkiego hetmana koronnego.

Ilekroć mąż wybierał się na wyprawę, dzielna ta niewiasta skrzętnie zaopatrywała wszystkie obozowe potrzeby, gromadziła pieniądze i przesyłała posiłki, gdy zaszła tego potrzeba. Ponieważ hetman, jak mawiał sam, wszelką myśl swoję utopił w sprawach Rzeczypospolitéj, przeto pani hetmanowéj pozostało zawiadywanie sprawami domowemi, zarządzanie całym majątkiem. W tym zarządzie kierowała nią zacna pobłażliwość, a mądra wyrozumiałość przewodniczyła jéj sądom o rzeczach ludzkich. Za dowód tego mogą posłużyć pozostałe jéj listy. Kiedy młody jéj bratanek, Tomasz Zamojski, syn Wielkiego Jana, doszedłszy do lat, domagał się rachunków z opieki od głównego swego opiekuna, Mikołaja Zebrzydowskiego, wojewody krakowskiego, poważna ciotka napomina go temi mądremi słowy: „Między waszmościami przyjdzie podobno do tego, że wojewoda będzie się z bochenka chleba obliczał. Nie żałował go nieboszczyk ojciec dobrodziéj nikomu, i waszmość tak czyń, a Pan Bóg waszmości będzie błogosławił. Proś raczéj na wesele, niż się długów upominaj, mój panie wojewodo.“ Późniéj nieco, kiedy tenże Tomasz Zamojski pojął w małżeństwo Katarzynę z Ostrogskich, Regina Żółkiewska posłyszawszy, że jakaś maleńka chmurka zawisła nad młodém stadłem, lubo, jak pisze, zajęta wyprawianiem pana a małżonka swego na wojnę, taką daje przestrogę bratankowi: „Trzeba to waszmościom

wiedzieć, że ze szklenicami i białemi głowami trzeba się obchodzić ostrożnie, i szanować je dla spólnych pociech i błogosławieństwa bożego."

Hetmanowa Żółkiewska równie mądrze wychowywała troje własnych dziatek, któremi obdarzyło ją niebo. Najstarszą ze wszystkich, Zofję, słynną z urody, wydała za Jana Daniłowicza, wojewodę ruskiego; młodszą Katarzynę za hetmana wielkiego Koniecpolskiego; zmarła w kwiecie wieku, przedwczesnym skonem dotkliwie zraniła serce matki. Najwyższą pociechą i chlubą Reginy Żółkiewskiéj był jedyny syn Jan, dziedzic imienia i zasług ojcowskich. Zacna matka składała od kolebki w serce młodziana piękny posiew cnoty, i z głęboką pokorą błagała Najwyższego, aby z tego posiewu dojrzały kiedyś bujne kłosy na ozdobę domu i pożytek ojczyźnie.

Zaledwie Jan wyrosł z pacholęcia na młodziana, groźna chmura od południowych granic nadciągała ku Polsce. Hospodar Multan, Gracjan, sprzykrzywszy sobie twarde zwierzchnictwo ottomańskie, oddawał się dobrowolnie w lenną opiekę Rzeczypospolitéj. Zygmunt III wyprawił téż niebawem gońca z listem do siedemdziesięcioletniego hetmana Żółkiewskiego, polecając mu, aby popierał czynnie Gracjana.

Zamek w Żółkwi zabrzmiał w połowie lata 1620 głośném przygotowaniem do wojny. Zacna hetmanowa krzątała się pilnie około zaopatrzenia małżonka we wszelkie potrzeby, i wzywała bratanka swego Zamojskiego, aby się przyłożył ku przedsięwzięciu zbrojnemu: „Jego mość mąż a pan mój, pisze ona, daje znać waszmości o niebezpieczeństwach, które zachodzą Kościół Boży i Ojczyznę. Pewnam tego, że waszmość nie zaniechasz dopomódz, idąc za przykładem zacnego domu swego i przodków swoich. My Pana Boga prosić będziemy, aby poszczęścić raczył."

Serdeczne były w rzeczy samej modły hetmanowéj; oprócz małżonka wyprawiała ona na wojnę jedynego syna Jana. Towarzyszył niemniéj sędziwemu wodzowi młody bratanek jego, Łukasz Żółkiewski, siostrzeniec Alexander Bałaban, i zięć po zmarłéj córce, Stanisław Koniecpolski.

W pierwszych dniach Sierpnia wszystko przygotowane już było do wyprawy, kiedy nad zamkiem w Żółkwi ukazała się nocą nadzwyczajna jasność na niebie. Przestraszeni domownicy dostrzegali jakby potykające się ogniste zastępy; obudzono hetmana i hetmanowę. Starzec spojrzał w niebo i spokojnym rzekł głosem: „Na moją to głowę zaprawdę!" Przypomniał sobie wtedy starą wróżkę z pod Rzeszowa, która w młodych jeszcze leciech przepowiadała mu pomyślne pasmo życia i chwalebną śmierć za ojczyznę. Serce małżonki ścisnęło się bolesném przeczuciem, głos bowiem tajemny szeptał jéj, że wątek jéj szczęścia dosnuty już na ziemi.

W kilka dni potém hetmanowa zalewając się łzami, pożegnała małżonka, skreśliła krzyżyk błogosławieństwa nad klęczącym u stóp jéj synem, i w gorącéj modlitwie czerpała jedyną pociechę w dręczącym niepokoju. Dzieliła z nią łzy i modły córka jéj pierworodna, Zofja Daniłowiczowa, i niedorosła wnuczka Teofila.

W końcu Września nadeszły do Żółkwi pierwsze wieści z cecorskiego obozu. Wieści te przeszyły najsroższym bólem serce nieszczęśliwéj żony i matki. Hetman donosił, że syn ciężko ranny; położenie zaś swoje w najsmutniejszych przedstawiał barwach. Z garstką 4,000 ludzi stał w obec sześćdziesięciu tysięcy nieprzyjaciół, w kraju cudzym i nieżyczliwym, bez podobieństwa rychłéj pomocy. Połowa rycerstwa, przewidując niechybną klęskę, odstąpiła chorągwi hetmańskiéj; złamany głos wodza nie zdołał przywieść ich do posłuszeństwa.

Regina Żółkiewska, odebrawszy tę wieść okropną, jakkolwiek zbolała, nie upadła jednak na duchu. Nie tracąc ani chwili, zebrała co mogła złota, srebra, klejnotów i kosztowności, i wyprawiwszy gońca z listem do obozu, pospieszyła sama do bratanka Tomasza Zamojskiego, wzywając go, aby ratował krewnego i opiekuna młodości. W tym celu złożyła w ręce jego przywiezione klejnoty i złoto, błagając o jak najrychlejsze zaciągnienie żołnierza ku odsieczy. Wojewoda rozpisał listy na okolicę, powołując rycerstwo do boju; w kilka dni potém wyruszył sam z Zamościa na czele 800 ludzi uzbrojonych, dążąc na Bełż, ku miejscu powszechnego zebrania.

Tymczasem hetmanowa odebrała nowy list, który zniweczył do szczętu jéj nadzieję. Był to ostatni list hetmana, pełen pobożnego poddania i niezachwianą nacechowany wiarą; przytaczamy go tu w całości:

„Miłościwa jéjmość, pani a pani, małżonko ma sercem ukochana i wieczyście miła! Tak było i tak będzie, aby prawość i sława narodu naszego nie zaginęła, Pan Bóg wszechmogący dopuszcza utrapienia, by ciało w wojnie hartować i umysł zaprawiać do dzieł rycerskich. Tegoż utrapienia nie koniec, i nie koniec łaski Pana Boga świętéj, która nas wszędy utrzymywała i nieprzyjaciołom stawiała tamę. Jakoż, kiedyśmy się zabierać radzi do utarczki z pohanem o świtaniu, odebrałem pisanie waszéj miłości, mojéj sercem ukochanéj i wieczyście miłéj małżonki, toż pociechę słówek kilku, a kto wié, może być że i ostatnie pożegnanie. Jam

pewien, że wasza miłość ukochana i miła małżonka, czytając to moje pisanie, nie będzie żalić starca i sił mych, i chociażby i życia, dla obrony Rzeczypospolitéj i Chrześcijan. Toż ta pociecha będzie sercu memu. Tu, w obozie mym, jakby jakowy rokosz powstał, tak się rycerstwo spiknęło, by na własną zgubę, i chcą koniecznie odchodzić od sprawy, że onych ledwo uhamować mogłem. Przetoż nie turbuj się wasza miłość najukochańsza małżonko, Bóg czuwać będzie nad nami; a chociażbym i poległ, toż ja stary i na usługę Rzeczypospolitéj już niezdatny, a Pan Bóg wszechmocny da, że i syn nasz miecz po ojcu wziąwszy, na karkach pohan zaprawi, i chociażby tak było jak rzekłem, pomści się krwie ojca swego. Na wypadek jakibądź, zalecam wąszéj miłości najukochańszéj małżonce, miłość dla dziatek, pamięć na me zwłoki, bo je styrałem ku usłudze Rzeczypospolitéj... Co Pan Bóg chce zswéj łaski dać, niech się stanie, a wola Jego święta będzie nam miłościwa do ostatka życia naszego. Z tém mnie modlitwom i łasce waszéj miłości polecam, i dziatki nasze na Pana Boga pamiętać upominam.

W obozie pod Cecorą 6 Października 1620 a.
Jéjmość do zgonu kochający małżonek i ojciec—
Stanisław Żółkiewski, w. h. k.“

Hetmanowa oblała te słowa gorzkiemi łzami, czytając w nich niechybny wyrok nieszczęścia. Jakoż wkrótce potém poczęła krążyć głucha wieść o zniesieniu wojska nad Dniestrem. Jakby na domiar złego, Tatarzy wkroczyli na Ruś Czerwoną; srogi zagon pomknął pod samą Żółkiew, rychło jednak odpartym został przez tę samą garstkę rycerstwa, którą hetmanowa zbrojno wyprawiła na odsiecz ku Dniestrowi.

Ledwie że Tatarzy ustąpili, wieść o pogromie hetmana strasznéj nabrała pewności. Rozbite szczątki wojska ściągały do kraju, ale żaden z Żółkiewskich nie powracał. Hetmanowa wyprawiła wysłańców, aby powziąć wiadomość o losie małżonka i syna, a przekonawszy się o prawdzie, zająć się odszukaniem ich ciał, lub wykupieniem ich z niewoli. Jakoż wysłańcy dowiedzieli się, że młody Jan został jeńcem tatarskiego hana Dewlet Giraja; o hetmanie zaś nie było wątpienia, że zginął. Nazajutrz, po ostateczném rozbiciu wojska polskiego, plądrujący Turcy znaleźli ciało jego na pobojowisku, i przechowali je jako towar do sprzedania; głowa była odcięta zwyczajem bisurmańskim i odesłana jako łup sultanowi; prawa ręka również odrąbana. Wysłańcy hetmanowéj poznali ciało pana swego po bliźnie pod kolanem, odebranéj dawnemi czasy. Wykupili więc pokaleczony tułów. Za hetmańskiego syna, uprowadzonego do Krymu, żądali Tatarzy 200,000 talarów; wysłańcy nie mając tak wielkiéj summy, powrócili, wioząc tylko ciało hetmańskie i wiadomość o młodym panu.

Nieszczęśliwa wdowa oblała rzewnemi łzami drogie zwłoki, i uczciła je godnym pogrzebem. Złożono ciało hetmana w grobach pod kościołem żółkiewskim, stosownie do woli nieboszczyka: „bez pompy, bez koni i kirysów.“ Trumnę, zamiast aksamitu czarnego, przykryto szkarłatem, „na znak wylania krwi dla Rzeczypospolitéj.“ Tak zalecał przed jedenastu laty zacny starzec, kreśląc ostatnią wolę swoją: „Życzę sobie śmierci tak słodkiéj dla wiary świętéj i dla ojczyzny, ale nie wiem, jeślim téj łaski od Boga godzien.“ Te słowa zapisał w testamencie, a Bóg wysłuchał go, zsyłając mu chwalebny skon na polach Cecory!

Hetmanowa, pogrzebawszy prochy małżonka, wydobyła ze skarbca Żółkiewskiego odwieczne srebra i kosztowności, i udała się do króla z prośbą, aby jéj dozwolono wykuć z nich dostateczną summę pieniężną. Zygmunt III uczynił zadosyć jéj życzeniu. Zebrawszy nareszcie dostateczną kwotę, stęskniona matka wysłała ją do Krymu w okup za ukochanego syna. Wkrótce też Jan Żółkiewski powrócił z niewoli z licznym pocztem krewnych i domowników.

Nie poprzestając na tém, wierna małżonka usiłowała wydobyć z Carogrodu głowę hetmańską, która na znak tryumfu wisiała u sklepienia głównéj bramy pałacu sułtańskiego. Przeglądając pilnie pozostałe po mężu pisma, wyczytała w nich takie polecenie: „Jeśliby w Wołoszech, albo gdzie za granicą Pan Bóg śmierć mi zesłał, tamże pogrześć grzeszne ciało moje, a na tém miejscu wysoką mogiłę usypać. Nie dla czczéj pychy tak mieć chcę, ale żeby grób mój był kopcem granicznym, żeby wiek potomny, szanując pamięć moją, wzbudzał się do nowych prac i zasług.“

Stosując się do téj woli, hetmanowa kazała wznieść mężowi nad Dniestrem pomnik z ciosowego kamienia, który widzieć dotąd można na obszernych polach cecorskich. W kościele w Żółkwi, po lewéj stronie ołtarza, wzniosła czarny grobowiec marmurowy, a na nim kazała wyryć piękny napis, upominający następne pokolenia: „Jak słodko i chlubnie umierać za ojczyznę, ucz się z mego przykładu.“

Słowa te, skreślone przez matkę na grobie bohaterskiego ojca, głęboko wryły się w serce dzielnego Jana Żółkiewskiego. Od dziecinnych lat oboje rodzice zaprawiali do hartu jego młodociany umysł, uczyli go zapatrywać się surowém okiem na życie, i uważać je raczéj za pasmo trudnych obowiązków, za bezustanną walkę z sobą i światem,

niżeli za pole do uciech i przyjemności. Jeszcze młodzian, nie wyszedł z lat pacholęcych, kiedy za zgodną wolą rodziców wysłany został do obozu, dla zaprawienia się w rycerskich trudach. Pragnął on szczerze wrócić co rychléj pod dach ojcowski, nie dla wypoczynku, ale dla nauk matematycznych, do których wiodła go prawdziwa skłonność. Dowiedziawszy się o tém hetmanowa, dała odpowiedź godną surowéj polskiéj matrony: „Widzę, że mu się już wojaczka sprzykrzyła, ale nie wadzi mu jeszcze przycierpiéć nędzy w dymnéj izdebce, żeby wiedział co nędza, a potém żeby umiał swoje szanować, jeśli będzie miał co kiedy. Nauka jest bardzo pożyteczna, i sama jestem za tém, żeby wrócił po niejakim czasie do nauk, aczci i tam nie próżnuje, widząc takie wojska i dzieła rycerskie, może się téż nauczyć czego.“

Tak wychowany młodzian, wyrósł na męża z dzielnym i niezłomnym duchem. Powróciwszy z Perekopu, pomimo starganych sił, postanowił on szczerze pomścić skon rodzica na Tatarach, którzy byli głównemi tego skonu sprawcami. Zachęcony przykładem Jezłowięckiego, umyślił dotrzéć do serca potwornéj gadziny, która tyle klęsk zadawała Rzeczypospolitéj: uderzyć na Krym i pokonać Tatarów w własném ich gnieździe. Jezłowiecki przypłacił śmiercią tak zuchwały pomysł; nie zrażało to Jana Żółkiewskiego. Bohaterska matka pochwalała również ten pomysł, widząc w nim prawdziwe dobro kraju, pomszczenie prochów małżonka, i wieczną sławę zapewnioną synowi.

Jan Żółkiewski zniósł się w tym celu z przedniejszemi wodzami Kozaków, mianowicie z dzielnym zahajdacznym Konaszewiczem, i zawarł z niemi ścisłe przymierze przeciwko Tatarom. Następnie wyjechał do Warszawy, aby się opowiedziéć królowi z powziętego zamiaru. Bóg jednak przeznaczył inaczéj: rana otrzymana w bitwie cecorskiéj nagle się otworzyła, i młody Żółkiewski umarł w kwiecie męzkich lat, nie mając czasu spełnić wielkiego przedsięwzięcia.

Nieszczęśliwa matka sprowadziła z Warszawy ciało syna, i pochowała je obok zwłok ojcowskich. W tymże czasie przywieziono z Konstantynopola głowę hetmana, i przy wspólnym obrzędzie pogrzebowym złożono ją w Żółkiewskich grobach. Na pomniku syna wyryła matka krótki, ale treściwy napis: „Wielkiego rodzica, do wielkich rzeczy zrodzony syn jedyny. Umarł roku 1623.“

Serce matrony pękło pod nadmiarem boleści. Niepocieszona po tylu stratach, umarła w rok po synu. Pochowano ją w zakonnéj szacie przy boku małżonka, którego była tak godną towarzyszką. Skon jéj opłakiwała rzewnie jedyna córka, pozostała z trojga dziatek, Zofja Daniłowiczowa, i córka téjże, młodziuchna Teofila, przyszła matka bohaterskiego króla Jana, a nieodrodna wnuczka Reginy z Herburtów Żółkiewskiéj.

KORRESPONDENCJA Z PARYŻA.

—W roku zeszłym spekulanci giełdowi chcieli wznieść dla Cesarza pomnik w wielkiéj sali gmachu Giełdy, za to, że za poradą ministra swego, pana Fould, Napoleon III, spowodowany gwałtowną potrzebą poprawienia kredytu Francji, a zatém schlebiając spekulantom i kapitalistom, zniósł opłatę jednego franka, pobieranego do kassy miejskiéj za wejście do téj świątyni Plutona. Na to żądanie, Napoleon, jako skromny zwycięzca, odpowiedział: „Nie, panowie, pomników dla mnie za to nie stawcie, boć istotnie nie ma za co, ale przyjmijcie ode mnie popiersie Napoleona III, i postawcie go w świątyni waszych zatrudnień.“ Dopiero banda spekulantów i szalbierzy giełdowych postrzegła, że jeżeli pan poważa ich pieniądze, to lekceważy, i słusznie, przesadzone ich uczucia.

Po skończonéj uroczystości dano w Tuilerjach ucztę, na któréj zauważano nieobecność Księcia Napoleona i Księżnéj Matyldy.

Co do bulwaru Księcia Eugenijusza, będzie to jedna z najpiękniejszych i największych ulic Paryża, a zarazem strategiczna arterja, prowadząca od koszar Księcia Eugenijusza do rogatek du Trône i fortecy de Vincennes, licząca około sześciu wiorst długości. Osoby, które od lat czternastu nie widziały Paryża, znalazłyby się w nim obecnie jak zupełnie obcém dla nich mieście. Stolica Francji zmieniła powierzchowność, przywdziała się we wspanialsze, a co najwięcéj, czystsze szaty; ale zarazem, o ile Paryż zyskał na powierzchowności, o tyle stracił na uprzejmości, otwartości, bezinteresowności, a nawet na wesołości mieszkańców. Paryżanie jeżeli pędzą jeszcze życie hałaśliwe jak dawniéj, nie mają już téj wylanéj, bezkłopotliwéj wesołości, tego dowcipu i swobody, co za czasów Balzaka lub Berangera. Dziś w życiu paryzkiém jest coś mechanicznego, jednostajnego i nużącego nieznośnie; zebrania, zajęcie i rozrywki w kawiarniach, balikach, czytelniach publicznych i klubach, pokryły się w ognisku rodzinném, téj cieplarni szlachetnych przymiotów duszy i trzeźwości umysłowéj. W publicznych, tłumnych zebraniach człowiek postrzega się być odosobnionym, zmuszony baczyć nieustannie na wszelki wybuch serdecznych zwierzeń

i poufnych wyznań, obojętnieje stopniowo, marnuje zdrowie fizyczne i moralne, i wegetuje w atmosferze dymu, gazu i wyziewów.

---

* * *

Jakkolwiek postrzeżenia atmosferyczne mogą być niewiele zajmującemi, zdarzają się jednak tak dziwne i niezwykłe fenomena, iż nie podobna pokryć je milczeniem. Do najcudowniejszych należy tegoroczna zima, ziębiąca tylko nocą i rankami, a w dzień występująca z całym przepychem młodziuchnéj wiosny. W Saskim ogrodzie widziałem już pączki rozwinięte nieznanego mi krzewu; na polach pod Lipskiem znaleziono gniazdko skowronka z pisklętami; w Belgji puszczają drzewa, zboża coraz lepiéj zielenieją i podrastają, fijołki kwitną, a ciepło do 12 stopni dochodzi. W roku 1493, w czasie bezkrólewia, po śmierci Kazimierza Jagiellończyka, podobne ciepła miały miejsce przez Styczeń i połowę Lutego, i nie tylko okwitły drzewa i popędziły zasiewy, ale nawet ptaki poczęły słać gniazda i składać w nie jaja. Przymrozki jednak marcowe wszystko powarzyły; daj Boże! aby nas ominęły.

Wszystko to jednak, tak nas zajmujące i zdumiewające, jakże jest malutkiém i nic prawie nieznaczącém w obec przestrzeni zawieszonéj nad naszemi głowami a napełnionéj miljonami nieznanych nam światów, w porównaniu których kula nasza ziemska jest zaledwie jakby drobniuchnym pyłkiem, lub małém ziarneczkiem maku.

Herszel przy pomocy teleskopu swego przyrządu, w pasie drogi mlecznej naliczył 18,000 gwiazd, a w pozostałéj reszcie nieba dwa miljony, razem więc 20,000,000. Pomimo tak ogromnéj cyfry, ileż być może jeszcze gwiazd niewidzialnych dla naszego oka, wspomagającego się choćby dwa razy doskonalszém narzędziem od teleskopu Herszla? Według przypuszczeń bardzo zbliżonych do prawdy, słońce ze wszystkiemi otaczającemi nas gwiazdami i planetami, krąży również około jednego środka, na który astronomowie naznaczają gwiazdę nazwaną przez nich Alcyona. Na przebieżenie tego ogromnego koła, słońce posuwając się na sekundę siedem i pół mili, potrzebowałoby $22^1/_2$ miljony lat; jak zaś wielkim jest promień tego koła, a raczéj odległość Alcyony od naszéj ziemi, dosć rozważyć, że gdy światło z księżyca dochodzi do nas w $1^1/_3$ sekundy, swiatło Alcyony potrzebuje na to lat 573, a są gwiazdy, od których światło nieprędzéj dobiega, jak w lat 3,000. Przypuściwszy teraz, że to drugie słońce Alcyona, ze wszystkiemi otaczającemi go światami, gwiazdami i całym naszym systematem słonecznym krąży jeszcze około innego środka, i tak następnie daléj i coraz daléj, tworząc coraz większe koła, coraz pełniejsze systemata, to w téj otchłani nieskończoności cały obszar nieba z dwudziestoma miljonami gwiazd, narachowanych przez Herszla, będzie tylko jednostką, ziemia nasza małym złomkiem, a człowiek, pełen pychy, robaczek ziemski, uważający siebie za pana ziemi, a często za jéj Boga, czémże będzie w obec téj wielkości stworzenia, któréj zaledwie jak przez sen tylko domyślać się możemy, a nigdy pojąć i zrozumiéć?

Na to nie umiem Wam odpowiedziéć.... w tym labiryncie światów, w harmonijnym ruchu ciał niebieskich, zawieszonych w przestrzeni bez początku i końca, myśl ludzka błąkając się, czuje tylko, że ją opuszczają siły i jak ptaszyna z postrzeloném skrzydłem biegnie ku ziemi, aby utonąć w wspólnéj modlitwie, wznoszonéj codziennie do Pana nad pany.

Po tym pobieżnym przeglądzie widzialnych i niewidzialnych światów, jakże się teraz wyda dalsza moja pogadanka tygodniowa? wybaczcie więc, że przykuty ciałem do padołu ziemskiego, zaprzątnę na chwilkę myśl Waszą starym naszym grodem, przypatrującym się z zajęciem spiesznie posuwającéj się budowie nowego mostu i szeroko płynącéj Wiśle, podmywającéj korytem brzegi Saskiéj Kępy i Pragi.

O Warszawie pisano już wiele; ogródki i ogrody, przechadzki i wycieczki zamiejskie, miejsca publicznych zabaw a nawet i prywatnych, różne zdarzenia i wypadki, były przędzą, z któréj tkano często prześliczne obrazki, leciuchne jak woń kwiatów w niewidzialnych pyłkach, unosząca się w powietrzu. Nikt jednak, o ile zapamiętam, nie wspomniał jeszcze o jednym ważnym szczególe, tyczącym się głównie Warszawy, którego nie godzi się pomijać milczeniem.

W pośród ogólnie podnoszących się skarg w kraju na zbyt upowszechnione używanie spirytualnych napojów, starań i zabiegów o umniejszenie produkcji wódki, a tém samém pijaństwa i liczby pijaków, Warszawa grzesząc wieloma rzeczami, zwyczajnie jak każda śmiertelna istota, może być bez przesady nazwaną trzeźwém miastem. Od dość bowiem znacznego czasu, bo od lat pięciu przeszło, pijanego trudno spotkać na ulicy, a jeżeli czasem zabłąka się jaki pijanica i zataczając popycha przechodniów, lub rozparty w dorożce wodzi po wszystkich stronach blachmanem opilstwa przyćmione oczy, to we wszystkich idących takie obudza podziwienie, tak mu się każdy ciekawie przygląda, jakby

pijanego pierwszy raz widział w życiu, jakby to było stworzenie zbiegłe z menażerji, pokazywane za znaczną opłatą,

Postrzeżenie to, tak pochlebne dla Warszawy, tém więcéj zasługuje na uwagę, że je zrobiło kilku cudzoziemców, od lat pięciu zamieszkałych w Warszawie, których sąd zwykle niebardzo dla nas przychylny, pod tym przynajmniéj względem powodując się sprawiedliwością, musiał stolicę naszą wyżéj postawić nad inne znaczniejsze miasta Europy. Kiedyż w podobny sposób odezwiemy się o wsiach i miasteczkach naszych?

Nieprędzéj podobno, aż lud prosty, już nie oświeci się, bo na to długiego potrzeba czasu, ale dopóki nie zasmakuje w umysłowéj rozrywce, dopóki myślą nie wybiegnie po za rodzinną swą wioskę i nie zaciekawi się do świata i spraw jego i dziwów. Wówczas odepchnie z pewnością kieliszek, pokocha całém sercem pracę, a słuchanie jakiego głośnego czytania przeniesie nad zaduch karczemny i bijatyki opilców.

Żeby cud ten stał się na naszéj ziemi, nie zrobią tego żadne konkursa żądające recepty przeciw pijaństwu, ani najszczodrzejsze nagrody za wymyślenie skutecznego środka,—tylko jedno szczere i bezustanne szerzenie między ludem oświaty i obudzanie w nim umysłowego życia.

Z nowych publikacyj wyszedł już drugi numer zapowiedzianego „Wędrowca“, który tak ładną illustracją jak i treścią zapowiada, że będzie pismem i nauczającém i ciekawém. Wydawca, pan Józef Unger, następujące zrobił ogłoszenie:

W dniu 19 Lutego r. b. wyszedł na widok publiczny pierwszy numer *Wędrowca*. Wydawca puszczając to pismo w obieg, pospiesza zarazem zawiadomić szanowną publiczność, iż zbieg różnych okoliczności, a mianowicie też zawód w przesyłce drzeworytów z pism zagranicznych, był opóźnienia powodem; odtąd wszakże bez przerwy wychodzić będzie regularnie co Czwartek, a zaległe numera o ile możności w ciągu półrocza dopełnionemi zostaną.

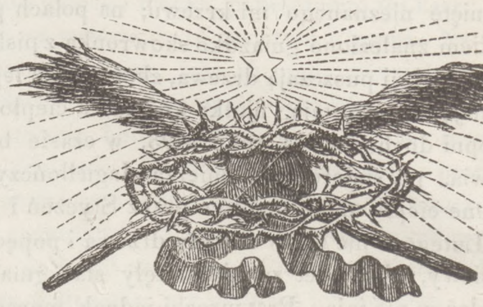
KRONIKA LITERACKA I ARTYSTYCZNA.

—*Objaśnienia przydatne włościanom* w ich nowych stosunkach, wydane nakładem Redakcji Roczników Gospodarstwa krajowego, gr. 20; obejmują rozumowania nad użytecznością zniesienia pańszczyzny, o czynszu, fałszywych wieściach, potrzebie zarobku, o szkółkach, radach gromadzkich, magazynach wiejskich, wstrzemięźliwości, przytułkach dla starców i stosuukach włościan z dworami: Rzecz dobrze opracowana, a choć wpływ z tych rozumowań będzie się rozszerzał wolno i niewidocznie, ale za to będzie trwałym: raz ciemnego oświeciwszy, nie cofnie w pojęciu nabytém, ale zrobi go apostołem zdobytéj prawdy, tak czynem jak namową.

SZARADA.

Druga wiadomo, że w alfabecie,
A *wszystkie* służą na *pierwsze, trzecie.*

(Znaczenie przeszłéj Szarady:—**Żarlok**).



Przy ciągle panującéj pogodzie, coraz to mniéj widać na ulicy salop futrzanych, a za to pojawiają sie coraz częściej wełniane płaszczyki i paletoty. Widziemy także znaczne ich zapasy w magazynach naszych. U pana Szlenkera dostać można wełnianych okrywek na rozmaite ceny, stosownie do gatunku; wszystkie w ogólności odznaczają się prostotą i zręcznym kształtem. Do najskromniejszych należą paletoty z tkaniny zwanéj *velours*, obszyte wkoło pletnią albo materją pikowaną, spięte na jedwabne guziki z szerokiemi dosyć rękawami i wyłożonym mankietem. Cena ich od złp. 86 do 120; ozdobniejsze i w lepszym gatunku wynoszą do złp. 150.

Między innemi zwrócił szczególniéj uwagę naszą ładny paletot z brystolu, przybrany jedwabnemi plisami i wązką na dwa cale frendzlą. Inny paletot z tkaniny ciepłéj *velours*, obszyty był wkoło pletnią, a za nią grubym sutaszem w drabinkę. Podobała nam się też polka z brystolu, objęta wkoło kasztankami, a za tém szamerowana pletnią w rodzaju czamarki. Rękawy ścięte od łokcia, zwężone u ręki, przybrane były odpowiednio. Cena jéj złp. 200. Zasługuje również na wzmiankę bardzo zręczny paletot, nieobłożony niczém, spięty do dołu na dwa rzędy guzików, przybrany tylko kołnierzem i mankietami z prawdziwego astrachanu. Do najkosztowniejszych i najozdobniejszych należy pale-

tot zwany Sobieski, obłożony wkoło barankiem, przybrany guzikami i pletniami, z kieszonkami po bokach; plecy u niego odznaczone pletnią, zachodzące na poły, i z obu stron zakończone kwastami. Rękawy ścięte od łokcia, mają stosownie szamerowany mankiet.

Uważaliśmy także płaszczyki z brystolu i *velours*, z bardzo szerokiemi rękawami, objęte wkoło materją pikowaną. Cena ich najniższa zlp. 120. Z pomiędzy nich najozdobniejszy z brystolu, naszyty był u dołu pięć razy rypsową pletnią na palec. Zamiast rękawów szły szerokie klapy, odpowiednio przybrane. Cena złp. 150.

Oprócz wyżéj wymienionych okrywek, znaléść można w magazynie pana Szlenkera kilkanaście paletotów i płaszczyków, które w zeszłym roku kosztowały po złp. 240, za cenę zniżoną obecnie do złp. 120. Są one ciemne, ale niezupełnie czarnego koloru.

Uważaliśmy téż znaczny dobór kaftaniczków sukiennych, mniéj więcéj przystających do figury. Z tych najwłaściwsze dla młodych panien postyljonki, z kamizelką jedwabną szamerowaną sutaszem i z takiemiż wyłogami u rękawów. Zgrabne są także bardzo kaftaniczki greckie, z zębem z tyłu i zaokrąglonemi przodami, szamerowane pletnią wełnianą lub jedwabną. Dla starszych osób zalecamy szczególniéj kaftany sukienne w drobne prążki, objęte szeroką pletnią, z kołnierzykiem i kieszonkami po bokach. Cena ich od złp. 50.

Dostać tu można pod kaftaniczki gotowych koszulek garybaldzkich czarnych, wyszywanych sutaszem i perełkami z lawy. Rękawy u nich szerokie, tém się różnią od dawnych, że mają szlak nakie, szyty przez środek wkoło rękawa. Cena ich od 40 do 54 złp. Między innemi zwróciła uwagę naszą garybaldka czarna tybetowa, przybrana z przodu takąż listewką, z dwoma odwróconemi od siebie falbankami. Tak listewka jak falbanki obszyte były gładko białym sutaszem. Kołnierzyk marynarski i mankietki wyłożone u rękawów, miały takąż samą falbaneczkę.

W magazynie panien Kuhnke widzieliśmy kilka świeżych sukien wełnianych, które tu szczegółowo opiszemy.

Suknia czarna gładka z fularu wełnianego, u dołu wycięta była w płaskie zęby, objęte pletnią. Stanik marszczony wkoło, spinał się na wypukłe guziki lawowe; u szyi zdobiła go ruszka jedwabna, wystrzygana w ząbki. Rękawy złożone z szerokiéj bufy, ujęte były u ręki w odpowiednią ruszę. Pasek postyljoński czarny jedwabny, z trzema zębami z tyłu a dwoma na przodzie, spięty kokardą ładnie dopełniał całości.

Suknia rypsowa czarna w delikatny biały wermiszel, miała stanik tworzący kamizelkę i kaftaniczek grecki. Przody z podwójnym bawetem, spinały się na rzęd aksamitnych guzików. Kaftaniczek odznaczony był szeroką plisą aksamitną czarną, i fałdowaną wstążeczką z białym brzeżkiem Rękawy ścięte od łokcia, miały mankiet kanciasty, obłożony aksamitem, i odpowiedni epolet.

Podobała nam się bardzo suknia z lustryny czarnéj, w białą drobną krateczkę. Stanik marszczony wkoło, spięty był na hebanowe guziki i opasany szarfą z wstążki mantynowéj, z kokardą na przodzie. Plecy można było rozciągać lub ściśniać według woli. Rękawy w nowym zupełnie rodzaju, obcisłe u ręki, składały się z klapy przeciągniętéj w podłuż do ramienia i bufy przymarszczanéj od spodu. Klapa równie jak mankiet, objęte były podwójną falbanką z wstążeczki czarnéj.

Inna suknia, także lustrynowa, w szerszą potrójną kratkę białą, miała stanik marszczony, obciśnięty postyljońskim paskiem, zapiętym na lawową klamerkę. Na rękawach suchych naszyta była bufa i dwie falbanki, po obu jéj stronach. Od ręki do łokcia szła wązka falbaneczka wzdłuż rękawa i rzęd hebanowych guzików.

Paski postyljońskie coraz więcéj wchodzą w użycie. W magazynie panien Kuhnke dostanie gotowych, tak jedwabnych jak i aksamitnych czarnych. Jedne z nich przybierają kwaścikami, inne po prostu obejmują plecionką. Można je spinać na kokardę lub klamerkę, według woli. Zwrócił szczególniéj uwagę naszą pasek aksamitny z trzema zębami tworzącemi karoczko, i trzema bawetami na przodzie; dwa z nich rozchodziły się jak zwykle po bokach, trzeci podniesiony był w górę. Na nim przypięta była kokarda aksamitna z długiemi na pół łokcia końcami.

Czepeczki muszlinowe okrągłe bardzo się upowszechniają do codziennego ubrania, uważamy je téż za bardzo właściwe do skromnych sukien wełnianych. Panny Kuhnke przygotowały dwa bardzo ładne rodzaje tych czepeczków. Jeden muszlinowy okrągły w kształcie chłopki, ogarnirowany w diadem potrójną falbanką, dzierganą biało, z czarnemi muszkami w ząbkach, ma szerokie końce muszlinowe i takiż karczek. Kokardka z wązkiéj wstążki w czarne i białe paski, przypięta zręcznie na środku, stanowi całą jego ozdobę.

Inny czepeczek muszlinowy, także chłopski, ogarnirowany falbanką muszlinową z wązkim tiulikiem, rozszerzoną nad czołem a zwężoną po bokach. Przez denko przechodzi wszywka przewleczona czarną wstązką, i objęta z obu stron tiulikiem. Czarna ko-

karda na wierzchu, i szerokie muszlinowe końce po bokach dopełniają ubrania.

Opis ryciny.

Nr. 1. Czepek z muszlinu szwajcarskiego, z główką spadającą. Przednia część czepka składa się ze wstawek haftowanych i falbanki muszlinowéj, z obszyciem koronkowém. Garnirowanie również z falbanek muszlinowych, daje się z boków we dwa, a nad czołem we trzy rzędy. Karczek odpowiednio przybrany.

Nr. 2. Wzór czesania głowy. Jeżeli włosy są gęste i długie, przedzielają się z tyłu w poprzek na dwie części, spodni promień splata się w warkocz i układa płasko, do którego przypiąć trzeba krepowaną podkładkę, a na wierzch przykrywa się własnemi włosami, zwijając pukiel jak rycina przedstawia. Gotowe koki u fryzjerów płacą się od 20 do 35 złp. Małe podkłady tapirowane do przednich niobów, złp. 5.

Nr. 3. Czepek półbatystowy z główką okrągłą, przykryta fanszonem. Garnirowanie z dwóch falbanek muszlinowych rurkowanych, z wązką walansienką.

Nr. 4. Bluzka muszlinowa w zakładki szwajcarskie na przodzie i na plecach. Kołnierzyk wyszyty w deseń grecki, garnirowany koronką. Rękawy przy ramieniu ułożone w fałdki szwajcarskie; przy rękach ujęte w mankiet obcisły. Pod bluzkę kładzie się stanik wycięty z cienkiéj weby.

Nr. 5. Kołnierzyk *Cavalier*, z tyłu stojący, z przodu z wywiniętemi rożkami, złożony ze wstawek i koronki.

Nr. 6. Stanik muszlinowy z wstawkami haftowanemi i wązkiemi zakładkami. Rękawy przy ramieniu marszczone, ścięte mocno od łokcia do ręki i przyozdobione wstawką i koronką. Kokarda muszlinowa, odpowiednio obszyta wszywką i koronką.

Nr, 7. Rękawek półbatystowy z mankietem webowym haftowanym, odpowiedni do kołnierzyka, pod Nrem 11.

Nr. 8. Rękawek z muszlinu bardzo klarownego, marszczony w podłuż i naszyty wstawkami haftowanemi. Pasek ze wstawki haftowanéj, obszyty z obudwóch stron walansienką.

Nr. 9. Rękawek muszlinowy, przybrany haftowanemi medaljonami i mankietem w kształcie dwóch rogowych chusteczek.

Nr. 10. Rękawek półbatystowy z prostym webowym mankietem, odpowiedni do kołnierzyka stojącego, pod Nrem 12.

Nr. 11. Kołnierzyk *Cavalier* z dubeltowego płótna, haftowany. Szmizetka żaknotowa.

Nr. 12. Kołnierzyk stojący webowy.

Nr. 13. Kołnierzyk marynarski ze wstawek haftowanych i muszlinu. obszyty koronką.

Nr. 14. Rękawek krajany ze skośnego muszlinu, z mankietem odpowiednim do kołnierzyka.

DONIESIENIA.

Listy i przesyłki pieniężne na sprawunki adresować prosimy: *Do J. K. Gregorowicza, ulica Żabia, Nr. 956, dom Krzemińskiego.*

Do dzisiejszego numeru dołącza się wzór drobiazgów rozmaitych i czesania głowy; oraz spis rzeczy zawartych w Tygodniku Mód w roku 1862.

w Drukarni K. Kowalewskiego. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowéj.

DODATEK

Dodatek do Nru 9 Tygodnika Mód.

Warszawa dnia 28 Lutego 1863 roku. *16 Lutego.*

MROWIN I TROCK.

POWIEŚĆ

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

CZĘŚĆ I.

Fit retribution.
Lord Byron.

(Dalszy ciąg).

Tymczasem wprowadziła Agatka — przystojna, wesołego spojrzenia dziewczyna — pannę Annę na piętro, gdzie jéj *apartament* przeznaczono. Był to pokój dość obszerny, od strony ogrodu, z małą *alkową*, opatrzony w nader proste sprzęty. Kanapka i kilka krzeseł, tkanką w pstre kraty obite; szafa, komoda, stolik, nieduże zwierciadło pomiędzy oknami — i w rogu stary fortepian — otóż i wszystko.

Anna, zostawszy sama, otworzyła okno i na świat Boży wyjrzała: wielki i piękny ogród—drzewa — krzewy i kwiaty wonią nocy ku niéj powiały. Burza przeminęła, deszcz ustał — ale niebo było jeszcze zawleczone chmurami, i gdzie niegdzie tylko jasna połyskiwała gwiazda. Młoda dziewczyna westchnęła — i mimowoli porównała to chmurne niebo z obecném położeniem swojém: na jéj niebie gwiazdki również skąpo błyszczały. Wczoraj o tym czasie była jeszcze z matką — babką — siostrzyczką — dzisiaj jest sama, wśród obcych ludzi!.... chłód ją objął — ścisnęło się serce— i zapłakała rzewliwie. Nasunęła się w myśli chwila jéj przyjazdu... wszelkie szczegóły — ów młody mężczyzna, który ja uniósł — zadrgnęła w swojém najczystszém uczuciu i gorący rumieniec oblał jéj lica.... Wspomniała na okazane jéj współczucie przez panią Modlewską, w którém było jakoby coś macierzyńskiego — i znowu jéj łzy łagodne ulżyły. — Potém przesunęły się, jakoby w latarni czarnoksięzkiéj inne osoby wieczoru tego widziane i pani Rożniszewska — niezbyt zaufanie budząca; Klementyna piękna, ale chłodna, jak marmur, pan Alfons..... i żywo stanęły jéj w myśli uwagi matki; wreszcie ładniutka Klocia — i pochwyciła ten miły obrazek całém pragnieniem serca.

Po modlitwie błagalnéj udała się na spoczynek, ale długo zasnąć nie mogła.

Gdy państwo Modlewscy znacznie późniéj w swoim eleganckim *apartamencie* — także na piętrze — stanęli, a pani drzwi na balkon zamknęła, ozwał się mąż do żony:

— Biedna ta panna Jarosławska, żal mi jéj: będzie tu miała kwaśne jabłka.

— Pomyślałam sobie toż samo — odrzekła żona — zwłaszcza téż od panny Klementyny.

— Panna Klementyna jest nieznośną! Bez wszelkiéj względności. A jaka *niekonsekwentna*, to przycina *parweniuszom*, a przecież ni mama ni papa nie rodzili się w pałacach; to szydzi z arystokracyi, a herby Rożniszewskich biją w oczy przed drzwiami, na srebrze, na bieliźnie, na poduszkach kanwowych; to wyszydza u drugich jakieś rodowe przesądy, i znowu krzywi się na sąsiadów nienależących do panów. Aby na teraz zmitygowała się jakoś francuczczyzna, bo dawniéj i gadać po polsku nie chciała.

— Z téj choroby wyleczył szczęśliwie Wojarowski.

— Uważam jest tutaj w znaczeniu.

— W wielkiém!

— No, to papka odda mu teraz w posagu za córką to, co skorzystał na wydzierżawieniu Grodzielska....

— Cicho! W domu wisielców nie mówi się o stryczkach, uczą Francuzi.

— Panna piękna, ani słowa.

— *Gapi się* w niéj — rozśmiała się pani radczyni.

— I bogata!

— Ale o coś ci państwo podąsać się musieli z sobą; on nagle odjechał, a panna była pomieszana. Bodaj ją nie rozgniewało, że za nadto był skwapliwym przy ratowaniu tego biednego dziewczęcia.

— Widziało się to! Zazdrość!

— Jakżeż ją przyjęła! Aż oburzało.

— I powitanie pani domu także nie było po macierzyńsku wcale.

— Najlepszym jeszcze może jest Alfons.

— Chłopak zepsuty, któremu się zdaje, że jemu wszystko jest wolno.

— Obecność jego także nie będzie bardzo korzystną dla młodéj guwernantki.

— Ojciec oddaje mu Żarczyn, a dokupił tam coś jeszcze dla zaokrąglenia, to pewnie i wyjedzie, skoro Rożniszewski z Karlsbadu powróci.

— Co ten człowiek za majątek robi!

— Szerokoby to było o tém mówić.

Małżonkowie dalszą rozmowę przyciszonym wiedli głosem.

5.

Och, jak urocza, jak silnie zwycięzka,
W oczach kobiety jest łza czarnoksięzka.

E. A. Odyniec.

I do not love her, nor vill strive
to do it.

Shakespeare.

Drugą osobą, dla któréj noc ta mało snu przyniosła był pan Stanisław Wojarowski.

Gdy opuścił Trock, pędził w noc chmurną, znanym wprawdzie szlakiem, lecz poprzerywanym świeżo spadłemi wodami. A chmurniéj od nieba zaciemnionego było w jego myśli, i téż ani zważał na złą drogę, ni téż na chłodne po ulewie powietrze. Koń jego potknął się po razy parę, ale i na to był obojętnym.

Od pierwszego zobaczenia Klementyny oczarowała go jéj piękność — nie była to miłość, lecz zawsze silne zajęcie; nie była to miłość, bo go w niéj wszystko raziło: ironija — nieżyczliwość dla drugich — złośliwe przymówki — brak niewieściéj względności — brak serca! — Dziś więcéj go ta cienista w niéj zraniła strona, aniżeli kiedykolwiek — i żywo dotknięty — zły — bolejący — dla tego Trock tak wcześnie i bez pożegnania opuścił.

Po śmierci rodziców zwykł był przepędzać wakacye i święta u ciotki swojéj, wdowy — kobiety, która wiele cierpień w życiu przetrawiła. Mąż jéj jedynie ukochany skończył na wygnaniu — które z nim przez lat kilka dzieliła — Następnie utraciła dwoje dzieci — inne jeszcze ciągle dotykały ją cierpienia i niedole, tak iż się zdawało, że los nigdy nie przestanie pastwić się nad nią.

Stanisław cenił i kochał ją, uwielbiał jéj poświęcenie — i nieraz bolał z nią pospołu,— ztąd téż i silniéj może wyrobiła się w niém strona serca, aniżeli to u tak młodych bywa ludzi; wymagał objawu tego ciepła i u drugich — a zwłaszcza téż w kobiecie. Podraźnił i zraził się łatwo, gdy spostrzegł brak tego niewieściego uczucia, jakiego żądał — ile że był uważającym i nic pod tym względem oczów jego nie uszło.

Przed rokiem odumarła go ta szanowana tyle i kochana ciotka; w głębokim żalu pogrążyło go to nowe sieroctwo, i tém gorącéj zapragnął dla siebie istoty, którąby go zrozumieć umiała — w któréjby znalazł skarb uczuć, uwielbianych w nieboszczce. Szukał ich w Klementynie, któréj piękność go urzekła — lecz nadaremnie. Czychał i chciwie pochwytywał każdy odcień jakowegoś w niéj wzruszenia — każde i najlżejsze wrażenie, które objawiała. Dziś nawet i w jéj lękliwości przed burzą, z radością chwytał ten jakiś objaw niby niewieści, a gdy przyciągnęła do siebie Klocię, i mniemał w jéj rysach tkliwszy wyraz siostrzanego wyczytać uczucia — to i szczęśniéj zadrgnęło mu serce. Później wszelako — jakeśmy to widzieli — tamte błogie wrażenia od razu rozwiane zostały. Wstręt i zostawanie jeszcze pod urokiem toczyły walkę w jego łonie.

Podniósł się wietrzyk — chmury szybciéj pomknęły; tu i owdzie na odsłonionym błękicie jasne świeciły gwiazdy — Grodzielsk w téj półjaśni czarniawą narysował się massą.

Stanisław wjechał w dziedziniec — otoczony sztachetami na podmurowaniu z kamieni; okrążył zwolna obszerny trawnik, minął dwór duży, ciemny — któremu większéj jeszcze posępności kilka wiekowych dodało świerków; wjechał w ogród; żwir deszczem spłukany zaskrzypnął pod podkową wierzchowca; psy opodal ozwały się chórem — a wprost, w niewielkim domu pobielonym, światło w oknach zabłysło.

Stanisław z konia zeskoczył, którego nadbiegły służący odebrał.

W pierwszym pokoju dość dużym, stał na środku stół dywanem okryty — a na nim paliła się lampa. Dwie sofy skórą obite i kilkanaście podobnych krzeseł, kredens i zegar ścienny głównemi tam były sprzętami. Stanisław szybkim przebiegł go krokiem i wszedł do drugiego pokoju, urządzonego z większym *komfortem*. Była tam kanapka, i leżanka wygodna, parę foteli i krzeseł, ładna sekretarka, dwa stoliki — i trzy szafy płytkie ale szerokie zastawione książkami. Na stoliku przed kanapą także paliła się lampa.

Młody dziedzic odłożył brązowy z szerokim brzegiem kapelusz, i rzucił się na leżankę.

— Czy pan nie rozkaże czego? zapytał pokojowiec.

— Nic nie potrzebuję. Odejdź!

I chłopak widząc zły humor pana, z pośpiechem ten rozkaz wykonał.

Stanisław myślą przebiegł wszelkie w dniu tym doznane wrażenia — wrażenia które chwytał. za któremi gonił — i tu, które go niby z nienacka owładły — ubodły. Słowa dosłyszane: *Quel coup de théatre! c'est une comédienne assommée* — paliły mu łono; — i ów wyraz zimny, pogardliwy, ironiczny, fatalny, tych rysów ślicznych, ścigał go jak mara.... Ale wśród owych widziadeł wśliznęło się nieznacznie i jakieś dziwnie miłe — wdzięczne— pełne łagodnego, niewieściego uroku widzenie.... piękne lica łzami zalane — lica blade, smętne — czarna sukienka.... Oddźwięczały się wyrazy pani Modlewskiéj: „Och, jak jéj serce bije” — a potém łkania tłumione żałosne.... Trzask piorunu — i jak tę lekką, omdlewającą postać od upadku uchronił — uniósł.... Stanisław nagle powstał — potarł dłonią czoło, niby natrętne odpędzając myśli; przeszedł się kilka razy po pokoju, szybko, gorączkowo — potém wyjął pierwszą lepszą ze szafy książkę i czytać począł.... *Kronikę Bielskiego*. Podobnego środka chwytał się zwykle dla zniewolenia wzburzonego umysłu, zapanowania nad podrażnionem uczuciem — i rozerwania myśli, czyli też, by stłumić rozpuszczone myślenia wodze. To też i długo w noc czytał.

Trzecią nakoniec osobą mało snu używającą téj nocy, była panna Klementyna Rożniszewska.

Pokój jéj przytykał do sypialni matki, a był tak wykwintnie przyozdobiony biało, błękitno — a rozumie się, że i złocisto — iż wyglądał jakoby mieszkanie wieszczki. Sprzęty wytwornéj roboty stolarskiéj, wielkie zwierciadła, alabastrowe wazony, etruski — i mnóstwo przeróżnych cacek, aż niby zbytecznem przeładowaniem trąciły — a znużone oko nie wiedziało na czém spocząć pierwéj.

Gdy piękna mieszkanka téj komnaty do niéj weszła — przebiegła parę razy po szklistéj posadzce, a potém kwaśno zawołała na pannę służącą.

— *Peignoire* podaj! Spać jeszcze nie pójdę.

Niebawem bielutki, haftowany ubiór poranny strój dzienny zastąpił.

Kamerystka wyszła. Klementyna drzwi na balkon otworzyła, przysunęła fotel, rzuciła się nań— znowu powstała i szybko pokój przebiegać zaczęła. Najprzykrzejsze tłoczyło ją uczucie: ból zadraśniętéj miłości własnéj i ból zazdrości. Zepsute dziecko — piękność, któréj hołdowało wszystko, któréj każdy pochlebiał, przytakiwał z góry jéj wyrazowi każdemu — płakała dzisiaj z podraźnienia. Powiedzmy: skaleczyła ją nasamprzód rozmowa państwa Modlewskich, ich okazane dla Anny współczucie — przedewszystkiem zaś, względność i zajęcie się nią Stanisława!.... Nadto i odjazd jego, nagły i niespodziany. A ona go kochała! Serce jéj po raz pierwszy uderzyło wrząco, namiętnie, bezwzględnie, jak to często bywa w naturach zimnych, nieugiętych i bez litości dla drugich, Stanisław był rzeczywiście człowiekiem wyższym, tak pod względem charakteru, jako też umysłu. Ceniono go powszechnie: starsi wskazywali go jako wzór synom swoim; młodzież go wielbiła — lud wiejski pokochał. Stanislaw Wojarowski wszędzie był z radością witany. Mówiono, żo dostałby i hrabiankę Lidyą Mińskę, bo za nim przepadało wszystko, i też pod każdym względem podobać się umiał. Powiedziała więc sobie Klementyna: *Ten albo żaden*! — i może więcéj pokochała go przez miłość własną, przez próżność, przez żądzę odniesienia pierwszeństwa — aniżeli przez czyste, tkliwe, ciepłe uczucie niewieście.

Państwo Rożniszewscy, którzy mniemali, że o piękną ich córkę, bogatą, *w zamku trockim*, najpierwsza młodzież ubiegać się będzie, — wszelako chętnie pana Stanisława Wojarowskiego jako jéj konkurenta widzieli. Bo pan Rożniszewski miał tyle rozsądku, że wolałby na zięcia zacnego i szlachetnego Stanisława Wojarowskiego na Grodzielsku, aniżeli jakiego zbankrutowanego hrabiego lub księcia, któryby potrzebował pieniędzmi jego poratować ojcowiznę, zaszarganą w zagranicznem błocie.

Młody Wojarowski od razu wywarł wpływ nadzwyczajny a zbawienny w Trocku. Wiemy już, że zaprzestano języka francuzkiego używać, jako domowy — i że Klementyna polskie czytywała książki, czego dawniéj nie bywało, i zaledwie z nazwisk wiedziała o znakomitszych pisarzach naszych. Przyjęto jego sposób myślenia, zasady — które z własném *widzimisię* i uprzedzeniem niezgodne, nieraz dziwaczne rodziły sprzeczności — powtarzano nawet posłyszane z ust jego zdania dosłownie. Klementyna była królową Trocką i wyrokowała o wszystkiem — to więc i wprowadziła zapatrywanie się Wojarowskiego, jakoby *nową modę*.— Co zaś do Alfonsa, ten uznał przeczuciowo wyższość Stanisława, znał jego wziętość — ztąd i podlegał jemu — a jeszcze, był to charakter słaby, bez najmniejszego wyrobienia własnego.

Nazajutrz, już o godzinie osméj — a była to rychła w Trocku godzina — niewywczasowana Klementyna, poleciła *pannie* swojéj, by pana Alfonsa do niéj poprosić kazała.

W godzinę potém wbiegł Alfons do niéj.

— Jestem! Cóż mi *la mia bella sorella* rozkaże? — zapytał, rzucając się na elegancką leżankę, przy drzwiach otwartych na balkon.

— Czy jedziesz do Grodzielska? — Klementyna stała właśnie przed wielkiém zwierciadłem i okrywała się błękitną zarzutką.

— Jadę. Dla czego? — uśmiechnął się Alfons i ziewnął.

— Bo mama lęka się, ażeby pana Stanisława nie był jaki spotkał wypadek.

— Och, zkądżeż mamie taka lękliwość! — zaśmiał się znowu braciszek, a panna zapłonęła.

— I mama chce, byś go z sobą na obiad przywiózł. — Klementyna stanęła na balkonie i pochyliła się ku pięknym kwiatom, które go zdobiły.

— A, naturalnie, że to zrobię! Przecież potrzeba panią Modlewską zabawić, która jest jeszcze *une belle femme*.

— Och! — ruszyła Klementyna ramionami i usiadła naprzeciw brata.

— Cóż tam? Czyliż znowu jestem *mauvais genre*.

— Nic nie mówię.

— To i ja nic nie powiem.

Oboje umilkli na chwilę.

— Cóż porabia panna Anna Jarosławska? — zaczął znowu Alfons.

— Nic nie wiem.

— Czy spała dobrze?

— Mówię ci, że nic o niéj nie wiem.

— Śliczna dziewczyna, wielce w moim guście.

— Tobie bo podoba się każda — skrzywiła się panna.

— Oj, nie każda!

— Nawet panna Antonina Tarsza.

— Boć też to ładniutkie dziecko, *très gentile*.

— Niechżeż i tak będzie!

Alfons powstał, przeciągnął się i ziewnął:

— Więc koniecznie Stasia mam przywieźć z sobą?

— Co to jest: *koniecznie?!*

— Przepraszam za ten wyraz: *honni soit qui mal y pense*! Za godzinkę jadę karyklem, i zabiorę go czy zechce lub nie. Musiałaś go wczoraj trochę zadrasnąć.

— Bynajmniéj!

— Ejże!.... Był markotny, *morose, maussade, irrité, ill humoured*, że i na mnie się obruszył.

— Nie poczuwam się do niczego.

— No, daj rączkę. Przywiozę go niezawodnie. *Adieu!*

W godzinę potém gonił żółty karykiel przez pola trockie, drogą do Grodzielska. Gdy stanął w dziedzińcu, wyskoczył z niego Alfons i zmierzał ku staremu dworowi, około którego liczni uwijali się robotnicy.

— Czy niemasz tu pana? zapytał.

— Niemasz, jaśnie panie — odrzekł jeden z robotników — był już tutaj i pojechał w pole.

Alfons wszedł do dworu, popatrzał się na puste pokoje z których kilka już wykończonych było — a potém wyszedł bocznemi drzwiami i popatrzał się na ładną okolicę. Widok po téj stronie był całkiem otwarty na szerokie jezioro, rozlane u stóp wzgórza, na którém dwór postawiono. Po za jeziorem leżała wioska, należąca do Grodzielska, z kościołem — i nader ładny obrazek na przeciwległym tworzyła brzegu.

W téj chwili od pola, ponad jeziorem, ukazał się jeździec na pięknym, siwo-jabłkowitym koniu. Alfons krzyknął: Ho! ho! — i białą wionął chustką. Jeździec odpowiedział wyrzuceniem w górę kapelusza — przypuścił siwka — i w parę minut potém był już na dziedzińcu.

— Dawno przybyłeś? — zapytał Stanisław, uścisnąwszy rękę gościa.

— Przed półgodziną. Pospieszyłem, bo panie moje były wielce niespokojne; czyli koń ciebie nie poniósł, czy nie utopiłeś się w któréj kałuży, czy nie uprowadziły cię nocne widziadła, lub téż nie zamordowali bandyci.

Stanisław się uśmiechnął.

— A damy nasze nie będą spokojne dopóki ciebie do Trocka nie zawiozę i nie pokażę całego.

— Nie mogę z tobą jechać Alfonsie, mam niejedno do zarządzenia.... Wiesz, że jadam obiad z rządcą, z pisarzem, a mam do pomówienia z nimi.

— Toćże tutaj jest obiad o wpół do pierwszéj, a w Trocku o czwartéj dopiero.

— Wierzaj, że mam wiele na głowie.

— Nie ustąpię, daję ci moje słowo na to: anibym się w Trocku mógł pokazać! Zjem z tobą obiad, a potém pojedziemy. Zgoda?

— Niechże i tak będzie — i Stanisław podał mu rękę, poczém skręcili na chodnik, do białéj oficyny wiodący.

— Byłeś wczoraj wieczór szczególniéj podraźniony, cóż tobie się stało?

— Byłem jakiś *out of humour* — uśmiechnął się Stanisław — ale nie stało mi się nic!

— Nie pogniewałeś się na kogo?

— Uchowaj Boże!

— A jakiż dziś twój *humour*?

— Najlepszy w świecie!

d. c. n.